

Jan Maciejewski: Koniec historii, czyli piosenka starych kochanków

„Koniec historii” to *femme fatale* historiozofii, od trzydziestu lat kusi i odrzuca. Bo przecież gdyby była to teza tak nieatrakcyjna jak się to w kółko powtarza, to nie wkładano by przez tak długi czas tak wiele wysiłku w jej dezawuowanie. I jak to zwykle z historiami miłosnymi bywa, żeby zrozumieć naturę fatalności tego zauroczenia, trzeba cofnąć się do chwili, w której zaiskrzyło – pisze Jan Maciejewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Nieprzerwana lekcja (z) historii”.

Nie ma drugiej równie chętnie i często obalanej tezy niż ta, którą postawił Francis Fukuyama. Gdyby istniał ranking częstotliwości pojawiania się w tekstach naukowych i publicystycznych danych fraz to sformułowanie „Fukuyama się pomylił, historia bynajmniej się nie skończyła” okupowałyby niezmiennie w minionym trzynastoleciu jego szczyt. Jeśli jego teza byłaby kobietą, nękałaby ją armia stalkerów, w dzień i w nocy wypisując wiadomości w rodzaju: „nienawidzę cię”, „za nic w świecie się z tobą nie spotkam”, „jesteś brzydka”. Pokrętnie dając rzecz jasna w ten sposób dowód jej tyleż toksycznego, co niepodważalnego uroku.

„Koniec historii” to *femme fatale* historiozofii, od trzydziestu lat kusi i odrzuca. Bo przecież gdyby była to teza tak nieatrakcyjna jak się to w kółko powtarza, to nie wkładano by przez tak długi czas tak wiele wysiłku w jej dezawuowanie. I jak to zwykle z historiami miłosnymi

bywa, żeby zrozumieć naturę fatalności tego zauroczenia, trzeba cofnąć się do chwili, w której zaiskrzyło. Kiedy człowiek i historia zajrzeli sobie po raz pierwszy głęboko w oczy; on postanowił sobie, że ją zdobędzie, a ona poczuła, że nie ma nic przyjemniejszego nad ciągłe wabienie i odtrącanie jego zalotów. Do chwili, w której nie tyle historia zaczęła się kończyć, co człowiek postanowił, że musi ją sobie podporządkować.

Hannah Arendt stwierdziła w „Kondycji ludzkiej”, że pierwszym krokiem do odebrania ludziom jakiegoś prawa jest skodyfikowanie go. Tylko to, co nazwane, może być później zabronione. W nadawaniu imienia jest coś z brania na własność, już od czasów Adama – czynienie sobie poddanym. Dlatego pierwszym krokiem do zakończenia historii było jej rozpoczęcie, ogłoszenie bieżącego roku pierwszym. Skonstruowany przez jakobinów podczas rewolucji francuskiej kalendarz utrzymał się tylko przez parę lat (z punktu widzenia dziejów – tyle, co mrugnięcie okiem), ale stojąca za nim myśl i ambicja trwają do naszych czasów. To wtedy, pod koniec XVIII wieku historia zaczęła się kończyć. Długiemu trwaniu tej idei, marzeniu a może po prostu psychicznej potrzebie jaka zanim stoi poświęcona jest książka „Początek końca historii. Tradycje polityczne w XIX wieku” Marka Cichockiego. To historia romansu, którego szczęśliwy koniec ogłosił Francis Fukuyama. Trwały sojusz demokracji liberalnej i kapitalizmu miał być małżeństwem z rozsądku, w którym obie strony znajdą wreszcie ukojenie, spokojną przystań po latach, a raczej wiekach wcześniejszych szaleństw. Dawał nadzieję może niespecjalnie szczęśliwego, ale za to stabilnego związku i stworzenia bezpiecznego domu dla nas, dzieci przełomu tysiącleci.

Hannah Arendt stwierdziła w „Kondycji ludzkiej”, że pierwszym krokiem do odebrania ludziom jakiegoś prawa jest skodyfikowanie go. Tylko to, co nazwane, może być później zabronione

Każdy romans jest kryzysem, w szerszym – życiowym i węższym – czysto fizycznym sensie. Burzy dotychczasowy porządek, wprowadza zamieszanie,

przyprawia o bezsensowność i szybsze tętno. Cichocki w swojej książce pokazuje naturę kryzysu w jakim znalazła się nowoczesna cywilizacja zachodnia. A raczej – że jest ona ze swojej natury, w swej istocie kryzysem. Zamieszczeniem, próbą ułożenia sobie przez Europejczyka życia w nowym związku po małżeńskiej zdradzie, jaką była rewolucja francuska. Chwilą, w której człowiek Zachodu postanowił stworzyć siebie na nowo, ustanowić nowe człowieczeństwo. Każda zdrada jest chwilą euforii, poczucia wolności rozpoczynającą długi ciąg samoudręczenia. Jak pisze Cichocki:

Początek końca historii wydawał się znamionować wielkie wyzwolenie człowieka, ale w istocie oznaczał pogłębiający się duchowy kryzys Europy, z którym nie potrafimy sobie poradzić do dzisiaj. Chodzi tutaj o całkowite przełamanie się dotychczasowego obrazu człowieka i świata. (...) pojawienie się w pełnej postaci nowego człowieka, który sam o sobie stanowi, wierzy wprost we własną moc samoustanawiania samego siebie jako jednostki i swych praw – istoty, która uwalnia się od wszelkiej zewnętrznej władzy naturalnego prawa czy konwencjonalnej tradycji. Bez takiego nowego człowieka koniec historii nie byłby możliwy.

Rewolucja była aktem, w którym człowiek odrzucał, zdradzał rzeczywistość, w której żył dotychczas. Łamał Prawo Boga, a zamiast niego ustanawiał prawa człowieka. A więc nie tyle te, które mu się należą, ale są jego dziełem i własnością. Postawił się w miejscu Twórcy – na tym polegał patos i dramat porewolucyjnej Europy. Jej euforia i nędza. Cichocki jako model, laboratoryjną próbkę tego nowego człowieka przywołuje Fausta Goethego. Jego historia to dzieje dramatu wyzwolenia, które jest w swej istocie oderwaniem się od własnej natury przez pragnienie nadludzkiej potęgi. Koniecznej dla ustanowienia nowego, lepszego świata, który w ten sposób stawał się jednak światem nieludzkim.

Rewolucja była aktem, w którym człowiek odrzucał, zdradzał rzeczywistość, w której żył dotychczas

Kryzys, który rozpoczął się podczas rewolucji francuskiej polega na oczywistości: człowiek nie potrafi, nie może być

Bogiem. Nie potrafi unieść ciężaru wolności, którą zdobył sobie poprzez własną niewierność. Szuka więc jakiegoś koła ratunkowego, nowego kontekstu, jakiejś całości, która stałaby się dla niego oparciem. Nowego związku, w którym znajdzie bezpieczeństwo, wsparcie i chwilę wytchnienia. Tak zaczyna się jego romans z historią.

Hegel rzucił nowoczesnemu człowiekowi koło ratunkowe pod postacią historii, rozumianej jako zmodyfikowana i zsekularyzowana wersja chrześcijańskiej eschatologii. Dlatego dzięki różnym „historycznym

koniecznościom” nowoczesny człowiek mógł przez dwa stulecia rozpaczliwie bronić się przed całkowitym utonięciem w pustce i samotności własnego stworzenia.

Człowiek, który nie chciał być wierny boskim prawom musiał wpaść w kleszcze historycznej konieczności. Opuścił kochającą żonę, by zdać się całkowicie na łaskę niezrównoważonej, zazdrosnej kochanki. A że dość szybko zdał sobie sprawę z jej charakteru, postanowił, że musi ją ujarzmić. Historia zachodniej cywilizacji to od tamtej pory „romans w romansie”, próba znalezienia równowagi, spisania intercyzy, która zamieniłaby dziejowy flirt w stabilny, przewidywalny związek. Zeswatać ze sobą siły, które byłyby w stanie poskromić złościcę. Zakończyć tę historię.

Pierwszą taką próbą był Kongres Wiedeński, uroczyste zaręczyny ancien regime’u i nagiej, politycznej siły.

Wspaniałe bale i maskarady, zawile negocjacje, zakulisowe porozumienia w zaciszu gabinetów, wysublimowane intelektualne i polityczne konwersacje w wiedeńskich salonach nie mogły zakryć tej prawdy, że jedyną prawomocność podejmowanych decyzji o dalszych losach Europy i jej narodów i państw daje siła i zwycięstwo władców, którzy sami są bezpowrotnie odarci z charyzmatów władzy i wszelkich atrybutów jej boskości.

Restauracja była pustym w środku kostiumem. Jedynym namaszczeniem jakie miała na swoją obronę była fizyczna, stojąca za zjednoczoną w celu ustabilizowania swojego statusu matrymonialnego

Europą siła. A jednocześnie stanowiła ona pierwszą próbę wielkiej konsolidacji. Wypełnieniem metafizycznej próżni przez sojusz dwóch, w danym momencie wiodących sił. Koniec historii będzie od tej pory ciągiem kolejnych, podobnych w formie, różniących się tylko w treści – składzie osobowym – prób.

Rozświetlały burz rozbłyski

Miłość naszą ileś lat

Raz ty brałaś swe walizki

To znów ja ruszałem w świat

Kolejna mediacja odbyła się już półtorej dekady później. Kolejna francuska rewolucja, tym razem lipcowa, potwierdziła starą prawdę, że historia powtarza się jako farsa. Monarchia lipcowa to kolejny sojusz, nowy związek, w który w osobie Ludwika Filipa weszła monarchia, tym razem za swego partnera biorąc paryski kapitał. Maurycy Mochnacki opisując jej naturę stwierdził, że była pustą techniką utrzymywania status quo, „polityczną kombinacją złożoną ze strachu, złota i nikczemności moralnej”. Jeszcze okrutniejszy (a w tym przypadku okrucieństwo równa się celności) był w swej ocenie Chateaubriand:

Odkąd na placu publicznym władca z uciętymi włosami i związanymi na plecach rękami dał głowę pod miecz przy dźwiękach bębna; odkąd przy dźwiękach tego samego bębna inny władca, na innym placu, wśród plebsu zebrał o głosy do swojej elekcji – kto może zachować najmniejsze złudzenia co do korony? Kto uwierzy, że okaleczone i zbrukane królestwo może coś znaczyć w świecie? Jaki człowiek, w którym żyje jeszcze serce, chciałby dla władzy wypić kielich hańby, który Filip wychylił do dna, nie wymiotując? Królestwa w Europie

mogłyby jeszcze istnieć, gdyby we Francji przetrwała dawna monarchia, córka wielkiego i świętego człowieka; ale wniwecz obróciły się płodne ziarna: nic się nie odrodzi.

*Lecz pokój gdzie kołyski brak
Pamięta echa dawnych burz
I słów namiętnych do szaleństwa
Więc choć porażki pierwszej smak
Z twych warg uleciał dawno już
A z mych pierwszego smak zwycięstwa...*

Bezpłodna monarchia nie stanowiła już w żadnej mierze atrakcyjnego partnera. Zawiązać się więc musiał kolejny sojusz, od udziału w którym uwolni koronę nowa siła - zainfekowany coraz mocniej rewolucyjnymi ideami lud. Nowy romans, rekonsolidacja układu sił to już związek wielkiego kapitału z nacjonalizmem. Związek ten zadzierzgnął się podczas Wiosny Ludów. Trzecia z wielkich konsolidacji pchnęła Europę na tory, z których wykoleić się ona miała w XX wieku. To wówczas nacjonalizm zaczął zmieniać swój charakter. Przechodzić od republikańskiej wolności do siły napędowej nowoczesnego, państwowego imperializmu. Zakrojonej na coraz większą skalę próbie ucieczki od wciąż tego samego kryzysu. Nowoczesny, zachodni mocarz kumulował w swoich rękach coraz większą władzę, ale tym bardziej był poddany wyrokom, nastrojom swej pani, historii. Na coraz wyższym poziomie, z użyciem coraz bardziej plastycznego materiału maskował kryzys, w jakim się znajdował. Jak mąż, który raz zdradził, wikła się w coraz bardziej niebezpieczne związki. I im bardziej spektakularnie dowodzi w ich ramach swej męskości, na tym krótszym pasku prowadzony jest przez swą Salome.

Sojusz nacjonalizmu z kapitalizmem, pod egidą coraz bardziej wyzwolonego z jakichkolwiek ograniczeń imperializmu, zapewnił Europie gwałtowny rozwój cywilizacyjny. Wydawał się spełnieniem obietnicy, o której pisze Cichocki – tej mianowicie, że „kryzys można ucywilizować, zamienić w racjonalny proces rynkowej lub politycznej konkurencji, która zagwarantuje jednostce komfort, a społeczeństwu postępowe reformy”. Obietnicy, której rzeczywistym „spełnieniem” miał już być XX wiek.

Kłótnie schadzki przeprowadzki

Znaliśmy się do cna

Wpadaliśmy w swe zasadzki

Zastawiane gdzie się da

Teza Fukuyamy to nic innego, jak apologia kolejnej, czwartej już z wielkich konsolidacji – tym razem sojuszu późnego kapitalizmu z demokracją liberalną. I tym razem naprawdę miało się udać. Autor „Końca historii” doskonale wie w jaką gra grę, zna dobrze podstarzałych kochanków, wie lepiej niż oni sami czego nawzajem od siebie oczekują. Od czego ucieka, kogo i jak zdradził człowiek i czym już naprawdę zmęczona wydaje się historia. To książka o najgłębszych i fundamentalnych pragnieniach tego pierwszego i o rozsądku, którego kończące się w czasie jej pisania stulecie nauczyć miało tą drugą. Książka mądrzejsza niż jej tytuł, który z kolei jest zbyt dobry, żeby nie zniechęcić do zapoznawania się z jej treścią. Ale nie zmienia to faktu, że muszę w tym miejscu podbić ranking stwierdzenia „Fukuyama się mylił, historia bynajmniej się nie skończyła”. Bo znów było wygodniej, bardziej komfortowo i postępowo niż kiedykolwiek. Tylko, że – cholera

- znowu się nie udało. Czwarta wielka konsolidacja również nie rozwiązała, a nawet nie zakłajstrowała duchowego kryzysu w jakim znajduje się cywilizacja zachodnia.

*A czas goni a czas goni
Straszy że źle z nami jest
I że zawieszenie broni
To miłości naszej kres*

*Strudzeni trochę bądź co bądź
Posłusznie wyruszamy więc
Na pole bitwy wyruszamy
Żeby jak co dzień udział wziąć
W potyczce czulej dwojga serc
W serdecznej wojnie zakochanych*

Stoimy dzisiaj u progu piątej, ostatecznej konsolidacji. Sojuszu Big Techu i wielkich korporacji. Związku, który podobnie do czterech swoich poprzedników, został zawiązany w celu uporania się z duchowym kryzysem toczącym Zachód od ponad dwustu lat. Ale tym razem propozycja rozwiązania jest po raz pierwszy tak konsekwentna. To już nie zakończenie historii jest celem, ale człowieczeństwa. Prawdziwym post scriptum do „Końca historii” jest posthumanizm. Post scriptum, które zresztą Fukuyama do swej książki dopisał, w eseju „Ostatni człowiek”, który jest od pewnego czasu dołączany do kolejnych wydań jego słynnej książki, jako (o ironio) jej piąta część.

Oczywiście, posthumaniści, trubadurzy piątej konsolidacji, w rodzaju Yuvala Harariego są dużo bardziej dosłowni, radykalni od Fukuyamy (który – na marginesie – z samym posthumanizmem gorliwie polemizuje) czy jego mistrza, Alexandra Kojeve’a. Ten ostatni pisał:

Zniknięcie człowieka u końca historii nie jest kosmiczną katastrofą: świat naturalny pozostaje tym, czym był przez całą wieczność. Zniknięcie człowieka nie jest zatem również katastrofą biologiczną: człowiek zachowuje życie jako zwierzę w harmonii z naturą lub bytem danym. Znika człowiek co się zowie – czyli działanie negujące to, co dane, oraz błąd, a mówiąc ogólnie, podmiot przeciwstawiony przedmiotowi.

Ale to tylko prawda etapu przewyższona przez historiozofię Harariego i jemu podobnych. Ich „odkrycie”, że człowieczeństwu jako takie (a nie tylko „co się zowie”) w rzeczywistości nigdy nie istniało. To prawda, cytując tytuł popularnej francuskiej kreskówki z lat 80., „był sobie człowiek”. Ale to tylko zwierzę jak wiele innych, niesłusznie uzurpujące sobie prawo do panowania nad swymi braćmi – psami, słońiami, kaczkami czy mrówkami. Okres jego rządów na tej planecie, „epoka antropocenu”, dobiegła już jednak końca. Przygniatająca większość tego gatunku będzie musiała teraz uznać, zgodzić się na swą „zwierzęcość”. Nieliczna kasta z kolei osiągnie status bogów, „homo deusów”.

Argumenty, którymi Harari podpira swoją historiozofię są – mówiąc wprost – kretyńskie. Ale ich popularność jest niezależna od ograniczenia umysłowego formułującego je człowieka. Liczy się jedynie

fakt, że są „na czasie”. Jak każda prawdziwy romans, tak i ten, w jaki wplątała się cywilizacja zachodnia musiał pod sam koniec znaleźć się w fazie autodestrukcji. Anna Karenina zbliża się do brzegu peronu, pociąg już nadjeżdża.

Książka Marka Cichockiego, mogąca pełnić rolę wstępu do pracy Fukuyamy, pozwala też domyślać się epilogu tej historiozofii, którą reprezentuje Amerykanin. Faktu, że głęboki duchowy kryzys, jaki stoi u podstaw kolejnych prób zakończenia historii, zrodzi wreszcie gordyjską pokusę rozwiązania tego węzła. Likwidację wszystkich problemów u źródła. Ogłoszenia, że zarówno dusza jak i człowiek nigdy nie istnieli.

To właśnie jest stawka, która leży na stole u progu piątej i ostatniej konsolidacji. Wraz z palącym bardziej niż kiedykolwiek wcześniej pytaniem – brnąć w to dalej, dać się pożreć modliszce, czy może jednak wrócić do domu?

Zdać się na kolejne wyroki historycznej konieczności (nawet jeśli byłyby one tożsame z wyrokiem śmierci) czy odkryć na nowo utracony przed wiekami kontekst, całość, porządek, który jest naszym prawdziwym domem. Więc jak: wolimy żywić się dalej strąkami, czy może jednak wrócić do Ojca?

Jan Maciejewski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego